TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 22. Chicago, Ill., Czwartek, 2-go Czerwca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Na znak cara przebaczonych odprowadzono w bok.

Wtedy Jan się znów odezwał:

— Ludzie moskiewscy! ujrzycie teraz męki okropne; taką jest kara dla złoczyńców, którzy chcieli wrogom zaprzedać państwo! Z płaczem oddaję ich ciała na katuszę, jako sędzia bowiem naznaczon jestem od Boga dla sądzenia narodów swoich. A w sądzie moim nie masz stronności. Jak Abraham, co nóż toczył na swego syna, i ja z najbliższych moich składam ofiarę. Niech spadnie krew ta na głowy wrogów moich!

Wtedy z pozostałych więźniów wyprowadzono nasamprzód bojarzyna Drużynę Andrejewicza Morozowa.

Jan w pierwszym szale rozdrażnienia osądził go na najstraszliwsze katusze, lecz dla swego niepojętego zmiennego charakteru, a także dla ogólnej czci, jaką miał bojarzyn u narodu, car w wilię stracenia przemienił swe rozporządzenie i karę o wiele mu zmiękczył.

Djak carski stojący przy pniu rozwinął długą tutkę i zaczął czytać:

— Były bojarze Drużyno! Chełpiłeś się, że zamącisz pokój państwowy, przywołasz hana krymskiego i litewskiego króla Zygimunta [1]) i wiele innych nieszczęść sprowadzisz na Ruś. Ośmieliłeś się także ostremi

1) Pewnie ma to być Zygmunt król polski. (P. T.)

słowy obrazić samego cara i wielkiego kniazia całej Rusi, i sługi jego wierne buntować. Zasłużyłeś na męki straszniejsze, niż na śmierć, lecz car pomny na dawne twoje zasługi, kazał cię pojedyńczo i bez żadnych tortur, prędką karać śmiercią; głowę ci ściąć, a reszty twoich majątków nie konfiskować.

Morozow, który już wszedł na pomost, uczynił znak krzyża św.

— Czystym jest, jak przed Bogiem tak przed carem — odrzekł spokojnie — duszę swą oddaję Jezusowi Chrystusowi, a cara proszę o jedną łaskę: niech mój majątek zostanie rozdzielonym na trzy części. Pierwszą część przeznaczam na Boskie cerkwie i na nabożeństwa za mą duszę, drugą na biednych, a trzecią niech otrzymają wierni moi słudzy i chłopki, a niewolnikom daję wolność na zawsze. Wdowie zaś swojej przebaczam; wyjść jej wolno, za kogo jej się spodoba.

Przy tych słowach Morozow jeszcze raz się przeżegnał i położył głowę na płachtę

Jęknęło głuche uderzenie, spadła głowa Drużyny Andrejewicza. Szlachetna krew obryzgała deski pomostu.

Później opryczniey ku zdziwieniu narodu wyprowadzili orężnego carskiego kniazia Afanasja Wiaziemskiego, krajczego Fedora Basmanowa i jego ojca Aleksija, którego syn fałszywie wydał, bo nie mógł przetrzymać tortur.

— Ludzie moskiewscy! — rzekł Jan, wskazując na osądzonych — patrzajcie na moich złoczyńców! zapomnieli że mi całowali krzyż i ograbiali was w mojem imieniu, i nie bacząc na Boski sąd, gubili ten sam naród, który ja kazałem im bronić od napaści drugich. I oto teraz otrzymują sprawiedliwą karę za swoje postępki.

Wiaziemskij i obaj Basmanowie, jako zdrajcy — ulubieńcy carscy, osądzeni byli na straszne męczarnie.

Djak przeczytał im, że są obwinieni w zamiarze opętania cara przy pomocy czarów, w stosunkach z nieprzyjaciołmi państwa i w uciskaniu narodu w imieniu Jana.

Gdy kaci wprowadzili Fedora Basmanowa na pomost, dawny ulubieniec carski odwrócił się do tłumu widzów i zaczął głośno krzyczeć:

— Narodzie prawosławny! chcę przed śmiercią uczynić żal za grzechy. Chcę aby wszyscy ludzie słyszeli mą spowiedź. Słuchajcie prawosławni!...

Tu Maluta stojący z tyłu nie dał mówić mu dalej, bo zręcznem uderzeniem szabli ściął mu głowę w tej chwili, gdy ... chciał zaczynać swą spowiedź.

Skrwawiony trup Basmanowa padł na pomost, a ścięta głowa zadzwoniła kolczykami i zsunęła się pod nogi carskiemu koniowi. Rumak skoczył, wzdął nozdrza, jął chrapać i z ukosa na nią poglądać.

Tym sposobem Basmanow uratował się od oczekujących go męczarni.

Jego ojciec Aleksy i Wiaziemskij nie byli tak szczęśliwi. Wraz z opryszkiem Jastrzębiem zostali wprowadzeni na pomost przed straszne narzędzia. Jednocześnie młynarza wpakowano na stos i do słupa przykuto.

Wiaziemskij wycieńczony torturami, nie mający siły trzymać się na nogach, i wspierany przez dwóch katów, rzucił do koła dzikie spojrzenie. W jego oczach nie można było dostrzedz ni strachu ni skruchy. Gdy ujrzał wznoszące się kłęby dymu a w nich przykutego do słupa młynarza, wspomniał jego ostatnie słowa, kiedy stary, po zażegnaniu szabli, patrzał w kubek z wodą; przypomniał sobie i to, co sam widział we młynie, gdy nocy onej księżycowej, patrząc pod szumiące koła, chciał obaczyć swą przyszłość, lecz dostrzegł tylko, jak się woda zaczerwieniła, niby krew, a po niej poczęły chodzić zębate piły i zamykać się i otwierać żelazne kleszcze.

Młynarz nie zauważył Wiaziemskiego. Zagłębiony w samym sobie, mruczał coś pod nosem i jak pomieszany przyskakiwał na stosie, dzwoniąc łańcuchami.

— Szikału! Szikału! — mówił czarownik — zleciały się kruki na obfitą ucztę. Okręciło się koło! okręciło! Co było na górze zleciało na dół! Szahadam! podnieś się wichrze od strony młyna, wpadnij na wrogów moich! Kułła! Kułła! Rozruć ognisko. Zagaś ogień!

I prawda. Niby posłuszny zaklęciom podniósł się wicher na placu, lecz

...ić ognisko, rozdmuchał jeszcze położone pod stosem gałęzie, a płomień porwał młynarza i ukrył go przed wzrokiem widzów.

— Szabadam! Kułła! Kułła! — dało się jeszcze słyszeć z za obłoków dymu, w końcu i ten głos umilkł w trzaskaniu gorejącego drzewa.

Powierzchowność Jastrzębia prawie się nie zmieniła ani od tortur ani od długiego zamknięcia w lochach. Silna natura starca oparła się mękom. Jeno w wyrazie twarzy nastąpiła zmiana; stała się łagodniejszą, a oczy patrzały spokojniej.

Tej samej jeszcze nocy, jak go schwytano i do więzienia wtrącono, przestały go trapić wyrzuty sumienia. Oczekiwał tedy kary śmierci, jak zadosyćuczynienia za swoje wszystkie sprawki, i leżąc na zgniłej słomie usnął spokojnie pierwszy raz od wielu nocy.

Djak przeczytał przed narodem winę Jastrzębia i oczekujące go męki.

Opryszek wszedłszy na pomost przeżegnał się i rzekł do narodu, kłaniając mu się nizko:

— Narodzie prawosławny, przebacz mi grzechy, rozboje, kradzieże i zabójstwa! Przebacz mi wszystko, com zgrzeszył przez tobą. Zasłużyłem na męki śmiertelne, lecz ty odpuść mi winy, narodzie prawosławny!

Tu zwrócił się do katów i sam wsunął ręce w gotową pętlicę, zaczem zawołał, trząchnąwszy kędzierzawą głową:

— Przywiązujecie, czy nie!

I nie odezwał się więcej.

Wtedy, z rozkazu Jana, djak zaczął czytać reszcie skazańców że są obwinieni w zamiarze oddania Nowgorodu i Pskowa w ręce litewskiego króla, i w przestępnych stosunkach z tureckim sułtanem.

W... miano poprowadzić jednych do szubienic, drugich do kotła, a innych do rozmaitych narzędzi torturowych.

Naród zaczął się głośno modlić.

— Boże! Boże! zmiłuj się nad nimi Boże — rozlegało się na placu — przyjmij prędzej ich dusze!

A niektórzy z tłumu wołali do skazańców:

— Módlcie się za nas, święci i niewinni! Wstawcie się za nami, jak wnijdziecie do królestwa Bożego!

Oprycznicy, by zagłuszyć te słowa, jęli krzyczeć:

— Huj-da! hojda! niech zginą nieprzyjacioły cara!

W tej samej chwili tłumy się poruszyły. Wsze głowy zwróciły w jedną stronę. Słychać było wołania:

— Święty idzie! patrzajcie! święty, święty idzie!

Na plac tracenia podążał mężczyzna lat czterdziestu, o rzadziutkiej brodzie, blady, bosy, w jednej tylko płóciennej koszuli. Twarz miał nadzwyczaj łagodną, a usta okalał mu dziecinny uśmiech.

Człowiek ten dziwnie odbijał przy tylu twarzach przerażonych, wystraszonych lub zwierzęcych. Nadzwyczaj podziałał na wszystkich. Na placu w mgnieniu oka uczyniło się cicho. Kaci wstrzymali się z swą robotą. Wszyscy znali świętego, ale nikt jeszcze nie widział na jego twarzy takiego wyrazu, jak dnia dzisiejszego. Pierwszy raz ujrzeli, że konwulsye poruszają te uśmiechnięte usta, jak gdyby z łagodnością walkę toczyło jakieś niezwykłe uczucie. Pochylony, przeciskał się święty przez tłumy, które z uszanowaniem mu się rozstępowały, i szedł prosto na Jana. Gdy szedł, brzęczały mu łańcuchy i żelazne krzyże, bo cały był niemi owieszony.

— Iwaszko! Iwaszko! — krzyczał zdaleka, przebierając drewnianą koronkę i wciąż się uśmiechając -- Iwasz! a mnie to zapomniałeś?

Jan chciał odwrócić konia i odjechać w bok, lecz święty już stał przy nim.

— Spojrzyj na mnie — rzekł, chwytając za uzdę carskiego konia — dla czego nie każesz mnie tracić? Dla czego Wasia ma być gorszym od drugich?

Car wyjął garść złotych z ozdobnego woreczka, co mu wisiał na złotym łańcuchu u pasa i odpowiedział:

— Bóg z tobą! masz Wasia! idź sobie i pomódl się za mnie.

Święty podstawił obie ręce, lecz wnet je cofnął, a pieniądze padły na ziemię.

— Aj! aj! parzy! — krzyknął i zaczął dmuchać w palce i trząść niemi w powie-

trzu — po coś złoto w ogniu roztopił! po coś w ogniu piekielnym rozgrzał!

Jan powtórzył niecierpliwie:

— Idź Wasia! zostaw nas w spokoju, nie potrzebnyś tutaj!

Zaś Wasia wołał:

— Nie, nie! jam tu powinien być, z męczennikami. Daj i mnie wianek męczeński! Za co mnie pomijasz? Za co znieważasz? Daj Wasi wianuszek, jako innym dajesz!

Jan wpadał w gniew.

— Idź już raz! — mówił.

— Nie pójdę — odparł uparty Wasia, i uczepił się końskich cugli. Nagle buchnął śmiechem i zaczął palcem wkazywać na Jana:

— Patrzajcie, patrzajcie! co to on ma na czole! co ty masz, Iwaszko! Rogi masz na czole! Koźle rogi ci wyrosły! I głowa ci się przemieniła w psią!

Oczy Janowi zaświeciły złowrogo.

— Precz waryacie! — krzyknął i wyrwawszy pikę z rąk najbliższego opryczmika, zamierzył się na świętego.

Naród zaczął szemrać z oburzeniem potem krzyczeć:

— Nie tknij, nie tknij świętego! Z nami czyń, co chcesz, a świętego nie rusz!

Wasia precz się uśmiechał na poły dziecinnie na poły głupio.

— Przebij mnie, królu Saulu — mówił i odgania wiszące na piersiach krzyże — przebij tu, w samo serce! Dla czegoż mam być gorszym od męczenników! Poślij i mnie do Królestwa Niebieskiego! Czy ci zazdrość, że nie będziesz z nami, królu Saulu, królu Herodzie, królu bluźnierców!

Pika zadrżała w ręku Jana. Jeszcze chwilka — i utkwiłaby w sercu świętego, lecz ponowny krzyk narodu zatrzymał ją w powietrzu. Car uczynił wysiłek nad sobą, przełamał wolę, lecz burza powinna była wybuchnąć

Z pianą w ustach, z zaiskrzonemi oczyma, z podniesioną do góry piką, ścisnął konia nogami i pędem wpadł na skazańców, aż skry się posypały z pod kopyt końskich i przebił pierwszego, co mu wpadł pod rękę. Gdy krokiem wrócił na swoje miejsce opuściwszy w dół zakrawiony koniec piki, już świętego nie było. Opryczmicy go usunęli.

Jan skinął ręką; kaci przystąpili do przerwanej roboty.

Na bladą twarz cara wytrysnął rumieniec, oczy mu się zwiększyły, na czole nabrały sine żyły, a nozdrza się rozszerzyły.

. . . .

. . . .

Gdy w końcu nasycony widokiem okrutnie pokaleczonych trupów, zawrócił konia i objechawszy plac do koła, podążał ku dworcowi sam zbryzgany krwią i zakrwawionym pułkiem otoczony, wrony i kruki co siedziały na cerkiewnych krzyżach i gzymsach domów, zatrzepotały skrzydłami i na wyścigi jęły spadać na stosy członków ludzkiego mięsa i trupy, wiszące na szubienicach.

Tego dnia nie było Porysa Godunowa w orszaku carskim. Towarzyszył posłom litewskim. Uprosił o to Jana.

Nazajutrz po owem strasznem dziele zniszczenia plac był oczyszczon a martwe ciała zebrane i zwalone do kremlewskiego rowu. Tam mieszkańcy Moskwy wybudowali później kilka cerkwi na kościołach i na krwi, jak powiadają dawne kroniki.

Wiele lat przeszło, a wrażenie tego okropnego dnia nie zatarło się w pamięci narodu. Długo jeszcze stały nad rowem kremlewskim skromne cerkwie, i wierni modlili się w nich za spokój umęczonych i straconych przez cara i w. księcia Iwana Wasiljewicza Czwartego.

XXXVI.

Powrót do Słobody.

Po dokonaniu strasznego dzieła zagła-dy, car chciał się pokazać litościwym i wspaniałomyślnym Z jego rozkazu [illegible] mnice pootwierano, i wypuszczono więźniów nie mających już najmniejszej nadziei [illegible] przebaczenie. Tym i owym nawet Jan [illegible] syłał podarunki. Wydawało się, że wrza[illegible] w nim oddawna wściekłość wybuchnęła [illegible] kiem onego dnia, i uleciała z jego du[illegible] jak lawa z wulkanu. Umysł jego się [illegible] koił. Nie szukał już zdrady.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sercowe kłopoty Stacha.

(POWIASTKA)

(Dokończenie.)

— Siła złego na jednego! Lepiej ja pójdę do domu i zmówię za niego pacierz. Inaczej dopomódz mu niego, a tu bezemnie bardzo dobrze się obędą! — Tak sobie myślała Halka i wymknęła się z izby. Ale jeszcze nie uszła sto kroków, gdy ją Stach dogonił i na nią zawołał:

— Helu, czemu się cichaczem wymykasz, jak taka, która coś ukradła? Czy może masz nieczyste sumienie, że nie chcesz abym cię do domu odprowadził?

— Nie, Stachu, sumienie mam czyste! — odpowiedziała Halka spokojnie, — ale nie chciałam ci przerywać zabawy, a mnie już czas powrócić do domu; trzeba jutro rychło wstać do roboty, a wiesz, że u nas w młynie nie żartują.

— A czemużeś dzisiaj ze mną tańczyć nie chciała? — zapytał Stach szorstko, i takim tonem, jak jeszcze nigdy do niej się nie odzywał.

— Ja — ja — tak czułam, że mię coś w gardle zabolało, — wyjąkała Halka.

— Nie zmyślaj! Powiedz prawdę! Ja koniecznie chcę wiedzieć! — krzyknął Stach rozgniewany.

A że biedne dziewczę nigdy w swojem życiu nie skłamało, bo się bało grzechu, więc tedy opowiedziała Stachowi szczerze, jak jej stara Małgorzata surowo nakazała, aby Stachowi nie wchodziła w drogę i nie przeszkadzała mu do szczęścia, jakie go ma spotkać przez ożenek z bogatą dziewuchą, którą na pewno dostanie.

Stach słuchał jej słów w milczeniu. Potem podał jej rękę i rzekł:

— Jeżeli tak, to dobrze! Toć stara Małgorzata najlepiej to musi wiedzieć. Idź z Bogiem, Helu, i wyśpij się!

To powiedziawszy odwrócił się, aby na tańce powrócić. Ale Halka strwożona uchwyciła go za ramię i zawołała:

— Idź także do domu, Stachu! Proszę cię bardzo! Parobczacy są wszyscy okrutnie na ciebie zagniewani; — mogą ci jeszcze zrobić co złego!

Stach roześmiał się na całe gardło, podniósł silną swą rękę do góry, potrząsł pięścią i rzekł:

— Niechby jeno spróbowali! Ja nie stara baba, a ten się jeszcze nie urodził, którego by się Stach przestraszył. Idź z Bogiem!

Potem się odwrócił i hardo poszedł do gościńca.

A w komorze swojej padła Halka na kolana i gorąco się modliła za Stacha.

Mimo to Stach tej samej nocy oberwał swoje kije i — co prawda — bardzo porządne.

Ponieważ jeden nie miał odwagi rzucić się na niego, więc aż sześciu chłopaków na niego się zaczaiło, i takie mu sprawili łoje, że aż z emia stękała. Stach miał na głowie kilka guzów tak dużych, jak pięść, podsinione oczy i kilkanaście krwawych ran na plecach i rękach, i wyglądał, jak gdyby z trzydziestoletniej wojny był powrócił. Z napastników jego każdy też porządne oberwał pamiętne.

— Zdrowo mu! — zawołał gospodarz, u którego Stach pracował, gdy nazajutrz się nie stawił do roboty. — Musiał na te gwinty zasłużyć.

Ale gospodyni nie była na niego zagniewana, lecz posłała Stachowi przez chłopca garnek rosołu i miskę klusek, aby się wzmocnił.

Stara Małgorzata zakrzątnęła się przy nim niby doktór jaki i całego oblepiła plastrami, a gdy mu mokre płaty przykładała do oka i opatrywała podrapane ręce, zauważyła złośliwie:

— Widzisz, Stachu, że karty dobrze

przepowiedziały? Garbatą dziewuchę poznałeś; tę z czerwonemi włosami także, no—a co się tyczy tych kijów, to zdaje mi się, iżeś dobrze poczuł, że się punktualnie zjawiły, co—?

Ale Stach nic na to nie odpowiedział, jeno sobie myślał, że po siedmiu złych latach muszą nastąpić lata obfite, a więc teraz u niego kolej na bogatą dziewuchę z worem pieniędzy.

Obfite łzy wylewała Halka, gdy się dowiedziała, jakie Stach dostał manto, a najboleśniejszem było dla niej, że młynarzowa nie chciała jej pozwolić, aby Stacha odwiedziła.

— Po pierwsze, nie możesz w dzień powszedni odejść od roboty, — powiedziała młynarzowa, — a potem też nie przystoi, abyś ty chodziła do chłopaka, który nie jest twoim prawdziwym bratem!

Dla tego musiała znowu stara Małgorzata być pomocną i zanosić Stachowi od Halki to, co sobie ze skąpej swej strawy od ust odejmowała.

Tak więc leżał Stach zbity i zmarnowany, że ani się ruszyć, ani się obrócić nie mógł, miał na swojej skórze wszystkie tęczowe kolory, a wewnątrz gotowała się jemu żółć ze złości i wstydu, że to jemu coś podobnego wydarzyć się mogło.

— Ej co tam! Niedbaj o to, Stachu! — pocieszała go stara Małgorzata. — Pamiętaj, że len także musi być porządnie wytrzepany, jeżeli dobrą ma być przędzą. Zobaczysz, że w krótkim czasie skóra twoja znowu będzie taka gładka, jak poprzednio. Ale teraz uważaj i pozwól ze sobą pomówić rozsądne słówko. Chciałabym przez ciebie zarobić faktorne.

— Co? Czy już macie dla mnie bogatą — — ? — zapytał Stach czemprędzej i zwrócił na starą podsinione swe oczy.

— Dla ciebie? — Nie! Ale mam kawalera dla — Halki, dla twojej siostry!

— Dla — dla — Halki? — wyjąkał Stach, któremu się zdawało, że nie słyszy dobrze.

— Tak jest, dla Halki. Chłopak nie brzydki, a będzie miał kiedyś dość pokaźne gospodarstwo i jest w twojej siostrze zakochany po same uszy. Nazwisko jego mam ci dopiero powiedzieć, gdy ty dasz swoje zezwolenie, a mnie on obrał za faktorkę.

Jak Stachowi przy tych słowach było sercu, trudno opisać; ale tak się skrzywił jak gdyby go padalec ukąsił.

— Halkę, Halkę chce zabrać? — krzyknął naraz i pięścią huknął w pierzynę, aż szwy prawie popękały, — do milion kroćset tysięcy cyganów, jak mu kark skręcę!

— Stachu, Stachu! — upominała go Małgorzata, — przecież tu chodzi o szczęście dziewuchy! Zastanów się dobrze. Przypomnij sobie, jak nieboszczka matka to dziewczę kochała, a ty jako brat musisz jej teraz zastąpić oja i matkę.

— Ale ona nie jest moją siostrą, przynajmniej nie moją siostrą rodzoną! — krzyczał Stach znowu, — a ona niema iść za mąż — ja nie chcę, ja na to nie zezwolę!

— Tak? Więc ma zostać na koszu i być starą panną? No, śliczne by to były widoki dla tego biedactwa, które jest gołe jak turecki święty, a w służbie u młynarzów nie lepszych zażywa czasow, jak ich pies podwórzowy. Teraz gdy może zostać szczęśliwą i dostać dobrego chłopa, teraz ten właśnie chce jej stanąć na przeszkodzie, który zawsze mawiał, że po ojcu i matce Halkę na całym świecie najwięcej kocha!

— Tak też jest! Ale Małgorzato — ja nie wiem, co to jest — ale mnie się zdaje, że to czystem niepodobieństwem, aby ktoś inny miał mieć Halkę, a nie ja, i ja myślę, że mi teraz jest rzeczą jasną: ona koniecznie musi być moją, jeżeli mam być szczęśliwym, bardzo szczęśliwym!

No, żeby kto widział, jak pociesznie teraz ta stara wyglądała! Niby udawała zagniewaną i czoło okrutnie zmarszczyła, a usta jej tak się zupełnie ułożyły, jak gdyby głośnym wybuchnąć miała śmiechem. Toć ona zawsze była tak jakoś waryatna, i człek nigdy z niej mądrym być nie mógł.

— Słuchaj Stachu, — rzekła znowu, — mnie się zdaje, że tobie się we łbie przewraca! Czyś już zapomniał o tej bogatej pannie, którą ci z kart wywróżyłam?

— Dajcie mi święty pokój z waszemi kartami, Małgorzato! — mruknął Stach; — garbatej dałem odprawę, kije swoje też rzetelnie dostałem, a na inne już nie mam a-

petytu. Powiedzcie waszemu kawalerowi z góry, że z tej mąki chleba nie będzie i Halki nie dostanie. Halkę zatrzymam dla siebie i za nikogo ona nie pójdzie, jak tylko za mnie! Na to przysięgam!

Stara Małgorzata spojrzała na niego figlarnie z ukosa i zapytała od niechcenia:

— A wiesz ty też na pewno, czy Halka ciebie będzie chciała za męża? Ja bo nie mam wielkiej nadziei; przecież na kiermaszu nawet z tobą tańczyć nie chciała!

Tedy się Stach rozjadowił i zawołał:

— Dajcie mi pokój z waszemi figlami. Małgorzato! To tylko wasza była sprawka, Wyście Halce zakazali, aby ze mną nie tańczyła, a ja też wiem, dla czego. Ale — zatrzymajcie sobie tę czerwienną — jak się tam nazywa — wraz z jej wypchanym trzosem; nagwizdać na to! Ja jestem zdrowym i silnym — oj, oj, boli! — mam ręce nie dla parady i mogę zatem pracować dla żony i dzieci, aby głodu nie przymierały. Teraz mi jasno we łbie, wiem, co mam robić i basta!

— No jak tam myślisz! — mruknęła stara, i świeży płatek położyła mu na oko, a przytem tak na niego patrzała, jakby go chciała pocałować. Ale stara Małgorzata tego nie zrobiła, tylko go lekko uderzyła w twarz i rzekła:

— Tak! A teraz zdrzymnij się troszeczkę, Stachu! Sen najlepszem jest lekarstwem. Ja tymczasem poskoczę do domu i po drodze odpowiem temu biedakowi, który w Halce tak jest rozkochany.

Ale Stach nie mógł usnąć. Przewracał się w łóżku na tę i ową stronę, że aż deski trzeszczały, a posinione żebra na nowo go znowu zabolały. Bo ta myśl, że Halka mogłaby być czyjąś inną żoną, nie dawała mu ani chwili spokoju.

— A gdyby też rzeczywiście tylko brata we mnie widziała i nic więcej, — zapytywał siebie bez przestanku, — o jej, toby było licho!

Lecz nareszcie jednakowoż usnął i śniło się jemu o tych kijach, które dostał, i o tym niegodziwcu, który mu Halkę z przed nosa chciał zabrać; ale o Kaście, Maryście i o wszystkich tych dziewuchach, za któremi kiedyś tak okrutnie gonił, teraz ani się mu przyśniło.

Czerwono zachodziło słońce Stach obudził się, przeciągnął się nieco i obejrzał p pokoju.

— Samotny, zawsze samotny! — westchnął. — Jeżeli jeszcze nadto człek chory i niema nikogo, któryby się raz poraz zapytał: Jakże ci? albo też: możeby ci czego było potrzeba? A to rozpaczać prawie trzeba!

W tem cień jakaś przesunęła się koło okna i zanim się Stach zastanowić mógł, skądby się wzięła, otworzyły się drzwi, a Halka stanęła w progu i zbliżyła się do łóżka Stacha.

— No, jakże ci, Stachu? Możeby ci czego było potrzeba? — zapytała go z taką słodyczą, że Stachowi zdawało się, iż słyszy anioła.

Ciężko Stach westchnął, twarz zasłonił rękami — bo się wstydził swoich podsinionych ócz — wtedy Halka odezwała się znowu z politowaniem:

— Razi cię słońce, tak? Poczekaj zaraz temu poradzę!

I przyskoczyła do okna i zasunęła białe firaneczki, które jeszcze nieboszczka matka uszyła. W izbie teraz jeszcze było ciemniej.

— A — a gdzie ty jesteś, Helu? — zapytał Stach takim głosem, jak gdyby dziesięciu zliczyć nie umiał.

— Tu jestem, Stachu! — odpowiedziała Halka i usiadła przy nim na stołku.—Stara Małgorzata, która tu niezadługo nadejdzie i przez noc przy tobie zostanie, wyprosiła mi pozwolenie u młynarzowej, abym tu do ciebie przyjść mogła i zobaczyć, czy ci czego nie braknie. Powiedz więc teraz: czy mam ci jakiej polewki ugotować, albo może bzowych lub lipowych kwiatków?

To mówiąc pochyliła się Halka nad pokiereszowanym Stachem, patrzała mu zaniepokojona w twarz i tak głęboko się nachyliła, że miękkim swoim włosem twarz mu musnęła.

Stachowi było na przemian zimno i gorąco, a serce mu tak gwałtownie biło, jak gdyby mu pierś chciało rozsadzić. Przytem takiej dostał trwogi, jak gdyby mu dach miał się zapaść nad głową.

— Helu, Helu! — wyjąknął naraz. —

więc już myślałaś o zamęściu — masz już kogo, któryby cię chciał zaprowadzić do ołtarza?

Halka zarumieniła się jak burak, spuściła oczy i zawstydzona odrzekła smutnie:

— Ja — i o zamęściu myśleć! Ciekawam, ktoby mógł być tak głupi, aby mię, biedną dziewczynę, chciał wziąć za żonę!

— Kto? — zawołał Stach i podniósł się w łóżku, (a teraz żadnej a żadnej nie czuł boleści), — ja ci zaraz nazwę jednego, i to nikogo innego, tylko Stacha, który też nie posiada wiele, a któremu ty jedna milsza i droższa jesteś, jak wszystkie dziewuchy na całym świecie!

Co ona na to odpowiedziała i czy w ogóle coś było powiedziane, któż to może wiedzieć? Jedna tylko Małgorzata, która podsłuchiwała pode drzwiami, słyszała, jak Halka wprzódy przez chwilkę płakała, (ale z pewnością nie z żalu ani smutku), a potem coś młasnęło, i tak zupełnie się słyszało, jak kiedy dwóch sobie daje całusa.

Ale Małgorzata, która stała przede drzwiami, głośno teraz zakaszlnęła, a po chwili uchyliła drzwi i zawołała:

— Halko! Idź do domu! Młynarzowa cię już z niespokojnością wyczekuje, a trzeba krowy wydoić!

* * *

Było to około świętego Marcina, jak Stach, — znakomicie wykurowany, — z Halką przyszedł do księdza proboszcza i dał na zapowiedzie.

Ksiądz proboszcz wypytał ich tedy to i owo z katechizmu, a potem im piękną powiedział naukę o obowiązkach małżeńskich, i jak się mają kochać, dochować sobie wierności i nawzajem sobie pomagać znosić dobrą i złą dolę; — jakto w ogóle zawsze się mówi w tych naukach, których narzeczeni tak pobożnie słuchają, a potem tak prędko wypuszczają z pamięci.

W niedzielę przed świętą Katarzyną było wesele.

— No, jak ci dwaj majątek swój złożą do kupy, to będzie to cokolwiek mniej, jak nic! — zauważyła złośliwie garbata córka gospodarska po ukończeniu nabożeństwa. A ta z czerwonym łbem, która zawsze oko miała na Stacha, dodała szyderczo:

— Co prawda, bogatą dostał pannę! Cały jej posąg toby pies na ogonie wyniósł!

Ald za temi dwoma złemi językami stała stara Małgorzata, która się skrycie uśmiechała i myślała swoje.

Gdy Stach z Halką wyszedł z kościoła, przystąpiła do niego Małgorzata, wydobyła z pod fartucha stary pugilares, oddała go Halce i rzekła tak głośno, że wszyscy ludzie to słyszeć mogli:

— Na, Halko, masz tu swoją wyprawę, okrągłe 500 talarów, a z procentem za lat ośmnaście razem 981 talarów i 15 fenygów. Widzisz, te pieniądze zapisała ci twoja umierająca matka, która ciebie daremnie szukała, gdyś się zabłąkała i bez śladu zginęła. Pieniądze miał sąd w zachowaniu i dopiero zeszłego roku dowiedziałam się przypadkiem o tem. Więc tedy jak się przekonałam, że to ty jesteś, której szukano, poprosiłam księdza proboszcza o potrzebne papiery i ksiądz proboszcz dla ciebie pieniądze odebrał, a na moje proźby zachował je tymczasowo, aby ciebie jaki uczciwy chłopak wziął nie dla grosza, ale ze serca. To się teraz stało, a mnie ksiądz proboszcz dał to radosne polecenie, żeby ci twój majątek wręczyć. Twoja matka była wdową i przeprowadzała się tędy po śmierci twojego ojca, do swoich krewnych w dalekie strony, tyś była jedynem jej dzieckiem, a gdyś jej zginęła, rozchorowała się w mieście i w szpitalu umarła, zrobiwszy poprzednio testament. Sąd cię poszukiwał, ale gdzież tam, mój Boże, my biedni ludzie czytali gazety! A że Stacha matka ciebie bardzo pokochała, i chciała cię przy sobie zatrzymać myśląc że jesteś biedną sierotą, więc też nie rozgłaszała tego bardzo, jeno ksiądz proboszcz zapisał wszystko dokumentnie, kiedy cię znaleziono, jak ci na imię, i wszystko co wtenczas jako dziecko umiałaś powiedzieć. Jak ksiądz proboszcz to wszystko spisane oddał sądowi, przekonał się sąd, że to ty właśnie jesteś i wydał pieniądze.

— Tak, — mówiła stara dalej zwracając się do Stacha, — a teraz, Stachu, dostałeś bogatą żonę z wielkim worem pieniędzy, a przytem szykowną i dobrą. A gdyby cię znowu miała chętka wziąć, aby zosta-

baszą tureckim, co ma zaraz kilka mędeli żon, to jeno pamiętaj o tem, że się tobie znowu postaram o baty, a dobre! Rozumiałeś?

Ale Stach nic nie odpowiedział, jeno swą kochaną Halkę przycisnął do serca i nie widział wcale, jak wszystkie dziewuchy, co na niego sidła zastawiały, a biedną Halką gardziły, aż pożółkły ze złości, i jak poczciwym gospodyniom aż w oczach łzy stanęły radości ze szczęścia poczciwego Stacha, który teraz sam będzie mógł być gospodarzem i to gospodarzem nie lada!

No — i zgadnijcie! Pierwsze baty jednakowoż Stach dostał od Małgorzaty, ale nie ten duży Stach, tylko maluśki Stach, którego stara Małgorzata piastowała i wychowała, zanim umarła. Stach ją też miał w swoim domu jak matkę. Poczciwa starowina! Ale jej wróżenie z kart, to pewnie nie było tak wielką sztuką? Co?

KONIEC.

SYN WDOWY,

POWIASTKA HISTORYCZNA Z XVI WIEKU.

I.

Szalona burza huczała nad szczytami czarnego lasu, wicher łamał gałęzie ogołoconych z liści buków i zrywał ciemną szatę wyniosłych sosen, a gromady kawek z krzykiem latały po nad wieżami Heilbronu.

Było to w listopadzie r. 1517. Biedny rolnik cieszył się, że na nadchodzącą zimę Bóg pobłogosławił plonem jego, lecz drżał zarazem, ażeby gorsi od burz i nawałnic, źli ludzie, nie wyprzątnęli mu gumien, lub stodół nie spalili, były to bowiem czasy bardzo burzliwe i dla ubogich wieśniaków bardzo ciężkie.*)

Zamożniejszy mieszczanin siedząc w ciepłej izdebce, spoglądał raz na okno, po których okrągłych w ołowiu osadzonych szybkach spływały strumienie deszczu, to znowu na komin wesołym buchający płomieniem i raz wraz zacierał ręce z radości, iż niepotrzebuje w tak szkaradny czas wychodzić na ulicę.

Ale nie każdy był tak szczęśliwym.

Przy miejskiej bramie Heilbronu, ku Weinsbergowi wiodącej, ukazał się mężczyzna, z którego stroju i napierśnika poznać można było, że jest pachołkiem miejskim.

— Brr... jakie szkaradne powietrze! zawołał ocierając twarz z mokrego śniegu, którym mu wicher oczy zasypał. Ciężko psa na taką pogodę wygnać, a cóż dopiero tak poczciwego chrześcijanina jak ja. Spodziewam się, że pan burmistrz nie będzie wymagał, abym szedł dalej:

I spiesznie cofnął się pod sklepienia bramy, a odetchnąwszy nieco krzyknął:

— No, marsz czarownico! dopókiż będę czekał na ciebie?

Słowa te odnosiły się do kobiety w odzieży mieszczańskiej, mającej lat trzydzieści kilka, lecz wydającej się o wiele starszą, gdyż troski poorały blade i przyjemne jej oblicze; boleśnie zaciskała usta, z oczu znikł blask życia, a rozpuszczone włosy wiatr miotał na wszystkie strony.

Prawą ręką wiodła miłą dziewczynkę, dziesięć lub jedenaście lat mieć mogącą, tak do niej podobną, iż na pierwszy rzut oka łatwo można było rozpoznać, że to jej córka. Drobną rączką dziecina obcierała co chwila łzy spływające po twarzy. O kilka kroków dalej, szedł chłopiec, o parę lat starszy od dziewczęcia. Obcisły kaftan z ciemnego sukna, odznaczał wysmukłe kształty jego ciała, z ramion spływał płaszczyk z podobnej materyi, a na głowie lekki barecik. Na twarzy chłopca, tchnącej zdrowiem i świeżością, malowała się śmiałość, a czar-

*) Był to czas religijnej wojny w Niemczech, powstałej wskutek odszczepieństwa Lutra. Książęta buntowali się przeciwko cesarzowi, a następnie chłopi przeciwko panom. Luter, który z początku podburzał chłopów, widząc, że złe za daleko zaszło, nawoływał panów, "aby chłopów zabijali, jak psy wściekłe." (Przyp. Redakcyi.)

ne oczy żywym ogniem błyszczały. Pięście miał ściśnięte i groźno spoglądał na mieszczańskiego sługę, lżącego matkę. Wiek tylko i brak sił, wstrzymywał go, aby mu równą nie odpłacił monetą.

Kobieta postępowała w pewnym rodzaju osłupienia za pachołkiem, lecz poznawszy na co się zanosi, zawołała drżącym z boleści głosem:

— Na miłość Boską, panie, wszakżeż nie będziesz miał serca wypędzać nas z miasta, wśród takiej burzy!

— A dla czegóżby nie?

— Wszakże dopiero sam powiedziałeś, że jesteś poczciwym chrześcijaninem.

— Ma się rozumieć że jestem, codzień chodzę na mszą świętą i odmawiam różaniec; ale co tobie do tego. Zresztą pan burmistrz kazał mi wypędzić was za miasto i kwita.

— Za co?

— Za co, głupie pytanie, że ci mąż umarł, że nie jesteś z Heilbronu, a więc nie masz tu co robić, że wreszcie dosyć mamy miejscowego żebractwa.

— Pozwólże mi pan przynajmniej sprzedać moje ruchomości i przygotować się w podróż.

— Nie turbuj się o te trochę rupieci. Sprzedadzą się one dla zaspokojenia poniesionych kosztów pogrzebu, bo przecież kasa miejska nie będzie za swoje pieniądze grzebać obcych.

— Ach Boże! mój Boże, zawołała biedna matka z rozpaczą, cóż się z nami stanie, nie mam ani grosza na drogę....

— Tem lepiej, bo cię nie obedrą na drodze.

— Ależ panie, zmiłuj się nad nieszczęśliwemi dziećmi, one nie zniosą zimna i trudów.

— Złego licho nie weźmie, mruknął pachołek.

— Pójdź! pójdź matko! zawołał chłopiec chwytając ją za rękę, nie proś dłużej tego niegodziwego człowieka. Bóg nas nie opuści.

— Masz więcej rozumu, od tej baby, nicponiu. Ruszajcie!

To rzekłszy pachołek wypchnął ich za bramę, zatrzaskując ciężkie wrota za niemi.

Matka przerażona gwałtownością syna, dała się wypchnąć bez oporu, a gdy na drugiej stronie stanęli, rzekła:

— Willibaldzie, jak możesz tak się zapominać, jak mogłeś złorzeczyć miejskiemu słudze.

— A dlaczegoż ludzie są tak okrutni? czyśmy im co złego zrobili?

— Należy wszystko znieść z poddaniem i cierpliwością, powiedziała matka. Tak nas uczy religia.

— Przebacz mi, droga matko, źle zrobiłem, lecz więcej tego nie uczynię.

— Wiedziałam, że masz dobre serce, lecz zmiarkuj, moje dziecię, gwałtowność, bo ta do niczego nie doprowadzi. Idźmyż w imię Boskie!

— Dokąd mamo? zagadnęła dziewczynka drżąc od zimna.

— Ach tobie zimno, Elżbietko, rzekł chłopczyk, zaczekajno, dam ci moją okrywkę. Tak, teraz ci będzie lepiej. I zarzucił na nią płaszczyk.

— Jakiś ty dobry, Willibaldku, zawołała z bolesnym uśmiechem dziewczynka, ale tobie znów będzie zimno?

— Nie troszcz się o mnie, mam ciepły kaftan. No, mamo, gdzież idziemy?

— Albo ja wiem? przedewszystkiem trzeba poszukać noclegu.

— Gościniec ten prowadzi do Weinsberga, wszak tam podobno mieszka nasz stryj?...

— Tak jest, rodzony brat ojca.

— Podobno jest bogaty.

— Nie inaczej, jest radzcą miejskim i ma trzy domy.

— A więc idźmy do niego, niezawodnie przyjmie nas dobrze.

— Tego nie wiem, mój kochany, ale nie mam wielkiej nadziei, bo najczęściej bogaci ludzie wstydzą się ubogich krewnych.

— Moja mamo, wszak my nie będziemy żądali, żeby nas żywił i okrywał, niech tylko nam dopomoże wynaleść w obcem mieście jaką robotę, więcej nie trzeba.

— Robotę, mój Boże, czegoż się chwycimy nieszczęśliwi.

— A gdybyśmy się też wzięli do grzebieniarstwa, z którego ojciec cały dom utrzymywał; rogów musi być dosyć w Weinsbergu, tak jak w Heilbronie, narzędzia nie

będą wiele kosztować, a stryj nam pożyczy pieniędzy na ich kupienie, ja umiem robić nieźle grzebienie, a ty mamo często ojcu dopomagałaś w pracy.

— Ja także potrafię róg oczyszczać, zawołała Elźbietka.

— A więc tym sposobem zdołamy się wyżywić.

— Niezła myśl, Willibaldzie, dziwię się, że mi wprzódy nie przyszła; ale ciężkie zmartwienia, jakie w ostatnich dniach doświadczyłam, tak mi głowę zamąciły, że do niczego zdatną nie jestem. Niech cię Bóg błogosławi za ten pomysł, jest on dla mnie promieniem, który rozświecił swem światłem smutną przyszłość.

— Więc nie smuć się, mamo, mówiła dziewczynka, tuląc się do niej.

— Nie, droga Elźbietko, odpowiedziała matka, całując tkliwie dziewczynkę, znoszę wszystko z pokorą, co mi Bóg przeznaczył.

— A zatem nie traćmy czasu, rzekł chłopiec, bo to już południe, a tu jeszcze tęgi kawał drogi przed nami.

I ruszyli wszystko troje naprzód.

Nie zawsze jednak dobra chęć zdoła zastąpić siłę fizyczną. Kiedy ciało osłabnie, napróżno wola chce nad niem panować, im bardziej człowiek się wytęża, tem prędzej utraci siły.

Biedna wdowa, zgnębiona zmartwieniem, przez kilka dni ostatnich prawie nic nie jadła. Żołądek zaczął się dopominać praw swoich

I kiedy droga, przerzynając się przez góry, zaczęła się coraz bardziej wznosić, a trzeba było piąć się po stromych urwiskach niewieście całkiem sił zabrakło. Pobladła, zachwiała się i prawie bez tchu wsparłszy się na skale mchem obrosłej, była bliską omdlenia.

— Nie mogę iść dalej... ale nie troszcie się.... kochane dziatki... nie jestem wcale chorą,... tylko.... tylko bardzo... zmęczoną. Taiła biedna, że to głód był przyczyną tej niemocy.

Willibald jednak to przeczuwał i kiedy Elźbietka pieszczotami starała się matkę pocieszyć, on ponuro rzucał okiem do koła, czy nie dojrzy gdzie wioski lub przynajmniej chatki.... ale okolica była pusta i bezludna.

Trzeba jednak szukać pomocy, lecz gdzie ją znaleść? i to jak najprędzej. Wtem odgłos dzwonków zbudził go z zadumania. Szybko zwróciwszy się ku Heilbronowi, ujrzał dwie wielkie bryki, toczące się powoli po gościńcu. Obok nich szli woźnice w niebieskich kitlach, w czarnych okrągłych kapeluszach, krótkich spodnicach i trzewikach. I dzisiejsi furmani podobnie się noszą, z tą różnicą, że tamci mieli za pasem jeszcze krótkie noże, w owych czasach, kiedy drogi były pełne rabusiów, nader potrzebne.

Oczy chłopca rozjaśniły się na ten widok, lecz wkrótce chmura niechęci zasępiła je na nowo.

W tej chwili Elźbietka spostrzegła wozy.

— Dzięki Bogu, szepnęła cicho, aby drzemiącej nie zbudzić matki, otóż i pomoc się zbliża

— Tak, jeżeli ci ludzie nie są z Heilbronu, mruknął gniewnie Willibald, od tamtych nie przyjąłbym pomocy.

— Pfe! jakiś ty zacięty.... wreszcie nie idzie o ciebie. Mnie się zdaje, że moglibyśmy najniegodziwszych ludzi prosić o pomoc dla naszej mamy!

Tymczasem bryki przybyły na miejsce, gdzie stała wygłodniała i zziębnięta gromadka.

— Hola! zawołał pierwszy woźnica, co się to stało tej kobiecie?

— Nie może iść dalej z głodu i utrudzenia, szepnął Willibald, tłumiąc niechęć.

— A ty tu stoisz jak kloc i nie otwierasz gęby.... Dla czego nie wołasz o pomoc?

— Ciekawym, ktoby mię usłyszał? odparł chłopiec z cicha.

— Kto? ja! mój mruku... gdybym was nie ujrzał, mogłaby biedna kobiecina umrzeć na drodze.

To rzekłszy zbliżył się do omdlonej, podniósł jak piórko i wsadził do bryki, przykrywszy ciepłym kocem.

— No! pójdź teraz ty mała laleczka, dodał poczciwy człowiek, zwracając się do Elźbietki, i podniósłszy ją ostrożnie z ziemi, posadził obok matki; nakoniec schwycił chłopca i rzucił go na drugi wóz jak piłkę.

— Siedź i pilnuj mi worków, bo właśnie też biednego Schwarzwalda ukradli mi

hultaje, i straciłem wiernego stróża.

—Gdzież jestem? zawołała w tej chwili wdowa, przychodząc do zmysłów.

— W dobrych rękach, odpowiedział furman — siedźcie sobie spokojnie, matulu, moim szkapom nie przyczynicie wiele ciężaru. A potem niedługo dosięgniemy wierzchołka, to już z góry pójdzie jak po mydle.... Mnie się zdaje, że szliście do Weinsberga?

— Tak jest, odrzekła wdowa.

— Ja też właśnie tam jadę — staję zawsze pod białym koniem, bo tam najtaniej Słuchajno, ty mała laleczko, weźno kobiałkę, jest tam w niej chleb, ser i kawałek słoniny. Podzielcie się wszystko troje, dla mnie nie trzeba zostawiać, bo w Weinsbergu dostanę co zechcę... A wy niewiasto napijcie się z flaszeczki... jest tam trochę lichego wina, ale hultaj ten, co daje lepsze, aniżeli go stać.

I niesłuchając podziękowań, ruszył dzielny furman wywijając biczem i pogwizdując sobie wesoło.

Nieśmiało sięgnęła Elżbietka do opałki, zapytując wprzód oczami matki, czy może wziąć.

— Moja duszko, byłoby to bardzo nie ładnie, gdybyśmy nieprzyjęli serdecznej ofiary tego poczciwego człowieka, a jeszcze gdy jej tak potrzebujemy.

Natychmiast wzięli się do posiłku. Trudno powiedzieć, z jaką rozkoszą pożywali go, osobliwie też wino cudowny sprawiło skutek na biednej kobiecie. Widocznie się skrzepiła i zanim minęło pół godziny, wszelkie ślady osłabienia zniknęły.

II.

W tem zatętniały konie na gościńcu i na zakręcie drogi ukazała się kupa zbrojnych.

— Swięty Stefanie, zawołał furman, chwytając za rękojeść noża, otóż wpadliśmy w pułapkę.

— Na bok z nożem Andrzeju, zawołał na niego towarzysz, to Götz z Berlichengenu ze swoją bandą; szatańska dusza—znam ja jego żelazną rękę.

— Masz słuszność, Klausie, odrzekł przerażony Andrzej, chowając nóż, nie nam to dwom porywać się na tę piekielną zgraję.

— Stójcie! krzyknął rycerz jadący na czele.

Był to w istocie Götz z Berlichengenu, rycerz słynny z napadów miast i rabowania kupców po drogach.

Furmani zatrzymali się, kobieta z dziećmi zeskoczywszy z bryki, pobiegła ukryć się w krzakach przy drodze.

— Co macie na wozach? zapytał Götz groźno furmanów.

— Nic takiego coby wam się przydało, odrzekł Andrzej hardo.

Rycerz przeszył go ognistem spojrzeniem, chwytając za rękojeść miecza, ale Klaus spiesznie zawołał:

— Nie słuchaj go, szlachetny panie, to gbur nie okrzesany, któremu ręce zawsze swędzą do bitki...

— Milcz! przerwał mu groźno rycerz. Co macie na wozach?!

— Gałgany! szlachetny panie.

— Co gałgany? głupcze myślisz, że ci uwierzę?!

— A jednakże gałgany i nic więcej, niech się wasza miłość przekona.

— Milionset szatanów, a na cóżbyś je wiózł łotrze?

— Wozimy je do Wurzburga, podobno tam z nich robią papier.

— Nie dajcie się tumanić, rzekł Götz, zwracając się do swych zbirów, którym w niesmak poszła wiadomość, że na wozie znajdują się szmaty. Przetrząść wszystko, a jeżeli znajdziecie cokolwiek innego w bryce, powiesić mi tych drągali na pierwszej lepszej gałęzi.

Zgraja zaczęła rozwiązywać wory i wyrzucać szmaty na drogę, dopóki wszystko nie leżało na ziemi.

Götz przekonawszy się, że furmani prawdę mówili, zaklął straszliwie, a potem wspiąwszy konia ostrogami, ruszył ku Heilbronowi; zbiry puścili się za nim.

Lecz gdy wyruszali, jeden dostrzegł w krzakach wdowę ukrytą z dziećmi; natychmiast poskoczył ku niej, wołając:

— Dawaj pieniądze!

— Nie mam ani szeląga, odrzekła drżąc

ze strachu kobieta.

— Zobaczymy, prędzej dobywaj worek, albo—

I wydobywszy miecz, wzniósł go nad przerażoną wdową, która z trwogi straciwszy przytomność, potoczyła się na kupę kamieni. Rabuś chciał ją pochwycić, gdy w tem Elżbietka rzuciwszy się w środek, zasłoniła matkę wołając:

— O mamo! moja mamo!

Pachoł pochwyciwszy dziewczynę, odtrącił ją na bok, ale w tej chwili potężny kamień ugodził go tak silnie w szyszak, iż mu się przekręcił na głowie.

Zdziwiony napastnik odwrócił się i spostrzegł Willibalda, który drugim kamieniem gotował się cios powtórzyć.

— Przeklęty bębnie! ryknął rozgniewany zbójca, lecąc ku niemu z podniesioną szablą, aby mu głowę rozpłatać. Lecz w tejże samej chwili uczuł się pochwyconym z tyłu.

— Oho! zagrzmiał gruby głos męzki, tu widzę mordują niewiasty i dzieci.

I w mgnieniu oka rabuś rzucony silnemi rękami, jak głaz upadł na środek gościńca.

Gwałtowny upadek napastnika, zbudził z osłupienia furmanów, którzy zapatrzywszy się na odjeżdżającą zgraję Gótza, nie widzieli co zaszło w krzakach.

— A ktoż go tak pozdrowił? zawołał z uśmiechem Klaus.

— Ach! ach to pustelnik, rzekł Andrzej, widząc zbawiciela wychodzącego z gąszczu.

Był to człowiek czterdziestoletni, krępy, o szerokich ramionach, twarzy przyjemnej, z dużemi czarnemi ognistemi oczami i lekko zagiętym nosem. Ubrany w brunatną długą suknię z kapturem i obwinięty białym sznurem zamiast pasa.

— Odjechał już? zagadnął furmanów.

— Zapewne, ojcze, mówicie o Gótzu? już go nie widać.

— Slicznie się z wami obszedł, mruknął patrząc na rozrzucone wory.

— Chwała Bogu, że nie gorzej, narobił nam tylko dużo roboty i to jeszcze przed nocą.

— Ale was nie zrabował?

— Ba, nacóżby mu się przydały nasze szmaty.

— Tem lepiej, rzekł pustelnik, a potem zwróciwszy się ku niewieście zapytał:

— A wyście dużo ucierpieli?

— Nic, dobry ojcze. Niech wam Bóg wynagrodzi za pomoc, gdyby nie wy, mój Boże... dodała drżącym głosem, spoglądając na syna.

— Tak ojcze, zawołał Willibald, chwytając go za rękę, wyśnie mi życie ocalili. I wycisnął na niej serdeczny pocałunek.

— Pamiętajże, abyś go użył na dobre, odrzekł obcy wpatrując się z upodobaniem w miłe oblicze chłopca. Ale muszę ci powiedzieć, żeś bardzo nierozsądny, jak można z kamieniem porywać się na dobrze uzbrojonego rozbójnika, jeszcze ci skrzydła nie urosły, a już chcesz latać. No, chłopcy, dodał zwracając się ku furmanom, trzeba zobaczyć, co się dzieje z tym nędznikiem.

— Na świętego Szczepana, zawołał Andrzej, jeżeli jego żebra nie są z żelaza, pewnie ma wszystkie połamane. Oto mi był rzut potężny.

Wszyscy przybliżyli się do napastnika, który leżał omdlały, w miejscu gdzie upadł.

— Mnie się zdaje, że mu to poczęstne wystarczy na całą wieczność, rzekł Klaus.

Pustelnik schylił się, podniósł go jedną ręką za bary i spojrzał w twarz badawczo:

— Nie, zawołał, on żyje, a nawet znacznego szwanku nie doznał. Zostawmy go tak, niech przyjdzie do siebie, a tymczasem spakujmy wory na brykę, trzeba żebyście jak najprędzej ruszyli i dostali się do Weinsberga przed zamknięciem bram; tutaj najniebezpieczniej czekać.

— W istocie trzeba się spieszyć, bo Gótz może wrócić lada chwila po swego pachoła, a gdy go zobaczy w tym stanie, to nas bez miłosierdzia na tamten świat wyprawi.

— Ba, ci pankowie zbójco rycerze, nawykli robić co im się podoba, natrząsając się z praw i władzy, a jeżeli Gótzowi zechce się zemścić, to was pewnie bez przesłuchania powiesi na pierwszem lepszem drzewie.

— Och, dobry ojcze, żyjemy w czasach bardzo nieszczęśliwych. Rycerze, zamiast

walczyć pod chorągwiami cesarza z niewiernymi, na czele band zalegają gościńce, napadają miasteczka, pustoszą wsie i trudnią się zbójeckim rzemiosłem. Wszędzie to samo: w Bawaryi, Szwabii, Turyngii i Frankonii. Gdyby nieboszczyk cesarz Fryderyk Rudobrody wstał z grobu, toby ich nauczył rozumu; ale dzisiejszy Maxymilian nie śmie z nimi zaczynać.

— Trudno mój przyjacielu, ażeby w takich czasach cesarz występował przeciw burzliwym wazalom, kiedy właśnie pomocy ich potrzebuje, dla zapewnienia tronu swemu synowi Karolowi, królowi hiszpańskiemu; ale miejcie cierpliwość, te nadużycia muszą się raz skończyć

W tem dało się słyszeć ciężkie westchnienie bandyty, wszyscy się zwrócili ku niemu. Pustelnik podźwignął go na nogi, lecz pomimo to, był tak osłabiony, że iść nie mógł. Naówczas, tamten kazał przyprowadzić konia, a chwyciwszy potłuczonego wpół, wsadził go na siodło jak dziecko i dając w ręce cugle, rzekł:

— Tak kochaneczku! jedź sobie z Bogiem, a niech ci ta mała przykrość posłuży za naukę, że nigdy i nikomu na dobre nie wyjdzie napastowanie po drogach spokojnych ludzi, a tembardziej kobiet i dzieci.

Poczem uderzywszy konia lekko dłonią, popędził go stępa wraz z poturbowanym jeźdźcem ku Heilbronowi.

III.

Tymczasem wozy były na nowo upakowane, a wdowa i dzieci dawne zajęły miejsce.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, zawołał pustelnik i natychmiast znikł w przydrożnych krzakach. Trzasnęły bicze furmanów i bryki potoczyły się gościńcem ku bliskiemu już Weinsbergowi.

Tegoż samego wieczora zgromadziło się mnóstwo ludzi przed domem ławnika Hoppingera. Przez otwartą bramę można było na schodach widzieć pana domu. U stóp tychże stała biedna wdowa, z płaczącą córką i synem Willibaldem, mierzącym wzrokiem rozjątrzenia i pogardy bogatego radzcę.

— Nic nie pomoże, krzyczał radzca, musicie wynosić się z miasta, mamy dość własnych żebraków, żeby się jeszcze schodzili heilbrońscy. Hej Piotrze! zawołaj pachołka miejskiego, niechaj tę hołotę na moją odpowiedzialność wyrzuci za bramy, a zabierz ich z sobą.

Piotr wyszedł. Wdowa z dziećmi postępowała za nim.

— Pst! Piotrze! zawołał na służącego jakiś krępy mieszczanin, oszczędź sobie drogi do magistratu; jest tu taki jeden co chce przyjąć tę kobietę z dziećmi, a nieścierpiałby, żeby to biedactwo poniewierało się w nocy po gościńcu.

— I któż to taki? zapytał ociągając się służący.

— No, któżby jeżeli nie ja, wszakże mię znasz?

— Ech, gdzieżbym was nie znał, ktoby nie znał w Weinsbergu tkacza Braunera. Chcecie więc zabrać z sobą tę kobietę?

— Ma się rozumieć, powiedz to swemu panu. Wprawdzie ja przez cały rok nie zarobię tyle, ile ona traci na jedną ucztę, lecz wystarczy mi jeszcze na posiłek dla tych trojga biedaków. No pójdźcie ze mną, a ty mała przestań płakać, bo ja na to patrzeć nie mogę. I cóż się dziwicie, że was Hoppinger kazał wypędzić, bo to bogacz, któremu nigdy bieda nie dała się we znaki, a więc niema o niej wyobrażenia. U mnie nie spodziewajcie się wielkich rzeczy, lecz moja Krystynka przyjmie was dobrze, bądźcie tego pewni.

Wkrótce przybyli do domu Braunera. Krystyna jego żona, przyjemna kobiecina, znać przyzwyczajoną była do podobnych zaproszeń męża, bo niepytając o nic, serdecznie przyjęła przybyszów. Wziąwszy na kolana Elżbietkę, tuliła ją i ocierała łezki, a potem zastawiła misę gorącej zupy i podała tęgi bochen chleba mówiąc:

— Bierzcie no, bierzcie moi kochani, nie myślcie o waszej biedzie.

I zachęcała, dolewała poczciwa gosposia, racząc biedaków i starając się, aby o swem przykrem położeniu zapomnieli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RZEŹ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy).

Bartłomiej.

Tak!.... Do dnia dzisiejszego byłem zupełnie innego zdania! (*zażywa tabakę i czyni przytem jak wyżej*).

Maciej.

Jeżeli ty jesteś taki rozumny, to powiedz mi, czy kościół mniszek pozostanie, czy zabiorą go Moskale? Ja słyszałem, że siostry zakonne mają być wypędzone, a kościół zabrany, ale mnie się zdaje, że to babski wymysł.

Jan.

Babski wymysł! Jak ja widzę, to ty masz daleko mniej rozumu, aniżeli zupełnie głupia baba (*Wstaje i chodząc mówi:*) Nie mam potrzeby daleko sięgać, gdyż w samej Litwie, car tysiące zakonników i zakonnic powypędzał, a ile szkół i kościołów katolickich odebrał i ile ziem przy kościołach znajdujących się zagrabił, to tylko samemu Bogu wiadomo! Ale co tu mówić o tem; odebrać, wypędzić, zrabować, to jest niczem dla Moskali. Moskale tysiące Unitów i zakonnic Bazylianek albo powypędzali, albo pozabijali, albo potopili, albo popędzili do ciężkich robót, gdzie skończyli życie swoje.

Bartłomiej.

Ty Janie za wiele wymyślasz! Car jest nie winien! Jeżeli jest co złego, to nie z winy cara, to winni są tylko niektórzy urzędnicy.

Jan.

Czy widzicie tylko! nie byłby to siaki taki urzędnik! .. Prawdziwe to jest przysłowie, że "urzędy zmieniają obyczaje." I nasz Bartek, zaledwo został sołtysem a już broni cara, już jest jego obrońcą. Wstyd tobie Bartku, że jesteś obrońcą naszego największego nieprzyjaciela.

Bartłomiej (*zażywszy tabaki otarłszy nos jak wyżej, mówi.*)

Ja nie kocham cara, ale ja myślę, że car jest nie winien.

Jan.

A któż jest winien?! Kto wybiera urzędników, tych prześladowców naszej Ojczyzny, czy nie car? Kto daje tym prześladowcom rozmaite nagrody za dręczenie nas, czy nie car? Kto biskupów lub księży, którzy wyrzekli się wiary świętej katolickiej, a przyjęli carską, ozdabia orderami, krzyżami, obdarza rozmaitemi darami, podnosi do rozmaitych godności, czy nie car? Któż takich urzędników, którzy nie mają ochoty nas prześladować, wydala z naszego kraju, jak to było z Baranowem gubernatorem kowieńskim i wielu innymi, czy nie car? Gdy odstępca biskup unitów Siemaszko przyjął carską wiarę, objeżdżając z kozakami z jednej parafii do drugiej i nahajkami, rózgami, biciem, katowaniem zniewalał lud do przyjęcia carskiej wiary, wówczas ten Siemaszko, ten tyran bez litości, był obdarzony orderami, krzyżami i rozmaitemi łaskami cara, za to tylko, że był prześladowcą naszym. Ażebyście lepiej wiedzieli, jaki to był człowiek ten ukochany przez cara Siemaszko, opowiem wam jedno zdarzenie z jego życia. Jak już wspomniałem, gdy Siemaszko w towarzystwie żandarmów i kozaków biciem, i katowaniem szerzył carską wiarę, kazał spędzić zakonnice Bazylianki do cerkwi prawosławnej; a gdy staruszki były już przypędzone blisko cerkwi, przełożona Mieczysławska odezwała się do Siemaszki w te słowa: "Byłeś naszym pasterzem, a teraz jesteś kozłem! Pościnaj nam głowy i wrzuć do cerkwi, bo my żywe nie wejdziemy." Wówczas rozwścieklony Siemaszko tak mocno uderzył pięścią w twarz staruszkę, że wybił jej ząb. Staruszka podniosła ząb i dając go Siemaszce, rzekła: "Tylu cię orderami i krzyżami ozdobił car, zawieś i ten

ząb, niechaj i on zdobi pierś twoją." Potem zakonnice znowu były zamknięte w więzieniu, gdzie z głodu, a inne od ciężkiej pracy życie swoje skończyły. Tu mówię tylko o staruszkach, bo co się tyczy młodych zakonnic, to z tych jedne zostały potopione w jeziorze Miedziota, Mińskiej gubernii, drugie były oddane na rozpustę Moskalom, którzy nieposłusznym zakonnicom na ich szatańskie i barbarzyńskie postępki, albo oczy wykłuli, albo pokaleczyli; a z wykłutemi oczami, porąbanemi rękami, odciętemi uszami itd. głodem umorzyli. A o Murawiewie generał-gubernatorze Litwy, kto nie słyszał? Ile ten człowiek wymordował ludzi? Tacy to zbóje, tacy tyrani, swoją dzikością przechodzący dzikość i drapieżność dzikich zwierząt, byli najukochańszymi sługami cara. A gdy tacy tyrani umrą, to car przykazuje zbierać pieniądze i stawiać pomniki na nich. Mógłbym wam jeszcze bardzo wiele powiedzieć, ale zdaje mi się, że i tyle wystarczy, ażeby cię przekonać, że car jest bardzo wiele winien.

Bartłomiej *(zażywa tabakę, ociera nos itd., a potem mówi:)*

Jednak car bardzo często wydala takich urzędników, którzy tak źle postępują.

Jan.

Nigdy! Jeżeli kiedy i wydala, to tylko takich, którzy prześladując nas i carowi coś złego uczynili. Albo wydala tylko dla tego, ażeby wprowadzić ludzi w błąd, a osobliwie Ojca świętego i inne państwa. Wydalając niektórych tyranów, car pragnie dać poznać, że on jest niewinnym i że winowajcy są ukarani. Ale jakaż to kara, kiedy wydalając z jednego miejsca, daje im drugie daleko lepsze posady. I jakaż to kara, kiedy wydalając daje im nagrody!.... Oto wydalił z Wilna byłego generał gubernatora Kochanowa, ale pytam was, czy to jest ukaranie, kiedy go car zrobił senatorem? Dostaje z łaski cara ogromne pieniądze, a my krwawo w pocie czoła pracując, musimy płacić swoim tyranom; bo car im płaci naszemi pieniędzmi, które z nas zdziera.

SCENA II.

Ciż sami i Uriadnik *(przychodzi i ze złością krzyczy)*

Sołtys! sołtys!!

Bartłomiej *(usłyszawszy, wstaje od stołu i mówi)*

Jestem. Co pan rozkaże?

Jan i Maciej *(wstają i słuchają.)*

Uriadnik *(ze złością do sołtysa.)*

Ty suki-syn! Naczelnik powiatu przyjeżdża, a ty tu siedzisz! Ulice nie wyczyszczone, drogi nie poprawione a ty tu siedzisz?! (*Podnosi rękę chcąc uderzyć sołtysa, który się cofa.*) Spiesz zaraz!!

Bartłomiej *(nie czekając co uriadnik dalej powie wybiega.)*

Uriadnik.

(Gdy Bartek oddalił się, krzyczy.)

Poczekaj ty suki-syn!

Bartłomiej *(wraca i słucha.)*

Uriadnik *(ze złością i grożąc pięścią sołtysowi.)*

Nos ci rozbiję! Skórę ci podrę na kawałki! Słuchaj! Zaraz powiedz starszyźnie, starostom i księdzu, żeby natychmiast przyszli, ponieważ naczelnik ich potrzebuje. (*Wszyscy odchodzą.*)

SCENA III.

Ciż sami, **Naczelnik, Asesor i Lud.**

(*Naczelnik z asesorem i uriadnikiem wchodzą po jednej, a lud zgromadza się po drugiej stronie; zdejmują czapki i kłaniają się uniżenie.*)

Naczelnik *(do ludu.)*

Przybyłem tu, ażeby zamknąć i zapieczętować kościół i przykazać zakonnicom, ażeby zaraz opuściły klasztor i wyjechały do Kowna. (*Wyjmuje papier i mówi:*) Oto jest rozkaz pana gubernatora (*czyta:*) Musicie pojechać do Kroż zapieczętować kościół i nakazać zakonnicom ażeby wyjechały do Kowna.

(Ciąg dalszy nastąpi).